*Miasto brajtszwanców*

 Utarło się nazywać Łódź miastem dymiących kominów,
polskim Manchesterem itp. itp. Te szumne etykiety tak dalece
przylgnęły do Łodzi, że wywołały nawet zamieszanie w dzi-
siejszym moim reportażu, którego tytuł kłóci się wyraźnie
z montażem rysunkowym. Prawda?

 A stało się to w sposób następujący, kiedy oddawałem
znakomite karykatury Stasia Dobrzyńskiego na warsztat na-
szemu wydziałowi ilustracyjnemu, prosiłem o dorysowanie
do nich tła, symbolicznie oddającego charakter Łodzi. No
i oczywiście na drugi dzień ujrzałem te imponujące, buchają-
ce kłębami czarnego dymu kominy, które macie państwo przed
sobą. Gdy tymczasem dla mnie jedynym dymiącym symbolem
Łodzi jest gęsina, a niezależnie od tego brajtszwance.
 Zaraz to uzasadnię. Byłem w Łodzi kilkakrotnie i nigdy
nie natknąłem się na żaden komin. za to brajtszwance widzia-
łem w ilościach niespotykanych w żadnym innym mieście
polskim, i to nie w sklepach kuśnierskich, a w kawiarniach,
nie na wieszakach czy woskowych manekinach, a na żywych,
płomiennych brunetkach tudzież chłodnych na pozór wampo-
watych blondynkach. Nie wiem, może dlatego tak się działo,
że zwykle prosto z pociągu dostawałem się do jakiegoś wy-
twornego lokalu, skąd kominów absolutnie dojrzeć nie można
było.
 Łódzcy moi przyjaciele zaś, z którymi potem zwiedzałem
miasto, pokazywali mi wprawdzie jego wspaniale rozwinięty
przemysł, ale tylko na odcinku gastronomicznym i to w po-
staci gotowych wyrobów, demonstrowanych przy akompania-
mencie dyskretnej muzyki restauracyjnej.

  Próbki tych produktów w charakterze znakomitej, wę-
dzonej - zdaje się, gęsiny - ofiarowywano mi wraz z okolicz-
nościowymi przemówieniami już na dworcu, przy wyjeź-
dzie.

198

 Teraz jest chyba jasne, dlaczego tak a nie inaczej ukształ-
towały się w mej wyobraźni symbole Łodzi.

  Bo poza tym między Łodzią i Warszawą nie ma żadnych
różnic. Zwłaszcza jeśli przyjedzie się torpedą. Szybkość jaz-
dy i tramwajowy jej charakter sprawiają, że znalazłszy się
po upływie półtorej godziny na Piotrkowskiej mamy wraże-
nie, że w dalszym ciągu spacerujemy Marszałkowską. Takie
same neony, takie same sklepy, takie same twarze... chociaż
nie... Warszawa nie ma oryginalnego Abisyńczyka, urodzo-
nego na miejscu, nie posiada wszechwiedzącego pana S.,
którego wszyscy pytają: „Kochany Panie S., powiedz pan,
co u mnie słychać?” a on recytuje bez zająknienia nowi-
ny, o jakich pytający nie wiedział, jeśli od godziny nie był
w domu.

 Warszawa wreszcie marzyć nie może o posiadaniu takie-
go np. mistrza Plamiaka, chyba że w charakterze obywatela
honorowego.
 Łódzki Abisyńczyk, nazwijmy go dla krótkości dajmy
na to Ras Cukierman, absolutnie nie jest Murzynem, nie
chadza po mieście w białym prześcieradle, nie ma brzydkie-
go zwyczaju pozbawiania zabitych swych wrogów cech
męskości, bo przede wszystkim nie ma wrogów, gdyż jest
przemiłym, elegancko ubranym młodzieńcem, rezydującym
przeważnie w Ziemiańskiej, a nawet zachodzi czasem do
włoskiej lodziarni na Przejazd. Tym niemniej jest to Etiop-
czyk jak najbardziej autentyczny, gdyż mając w swoim
czasie jakieś kłopoty z obywatelstwem, postarał się o abi-
syńskie i otrzymał je wraz z paszportem i innymi formalnoś-
ciami. Poza tym pozostał łodzianinem z krwi i kości, co nie
przeszkadza, iż uchodzi tu za autorytet w sprawach kraju
negusa.
 Z nim to odbyłem szereg wywiadów w sprawach sytuacji
wojennej w sprawach Abisynii. Sondowano jego opinie co do
obronności Addis Abeby i starano się poznać jego zdanie

199